



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Numer 1,000-y.

TYSIĄCZNY NUMER.

Dzisiejszy numer naszego pisma,—to jego Numer Tysiączny, to blisko dwadzieścia lat pracy. Mnie samej sądzić jej niepodobna, ale z ręką na sercu powiedzieć mogę, że była to zawsze w szczególności swym każdym praca sumienna, staranna, pojmowana jako obowiązek i mająca za natchnienie najgłębszą miłość społeczeństwa swojego.

Dwadzieścia lat czasu musiało przynieść pewne zmiany w okolicznościach, więc i w potrzebach, rozszerzyć pewne pojęcia, zrobić miejsce nowym kierunkom myśli i pracy społecznej; ale ludzkość ma niezmiennie, wieki-ście ideały prawdy, dobra i piękna; są rodzime ideały powszechności każdej—i duch kierujący piśmem naszym nie odstąpił od nich nigdy! Pojęcie rodziny i stanowiska kobiety w rodzinie, jej znaczenia w społeczeństwie, ważności jej pracy w dorobku ogólnym, nigdy zmianie nie uległo.

W pierwszym do czytelników przemówieniu (Prospekt z dnia 27 Sierpnia 1865 r.) powiedziano, że „wszystko, co potrzebuje (w społeczeństwie) być ogrzane przez miłość, wsparte przez nadzieję, podniesione przez wiarę“, na dział zadań kobiety przypada; że na gruncie rodziny stoi ona najzupełniej równoprawniona z mężczyzną, bo „pracuje naró-

wni, tylko on siada po prawej stronie ogniska, bo, jako siła (mająca działać nazewnątrz), prawą rękę wolną mieć musi“. Za warunek, dający kobiecie te prawa i to znaczenie, położono wyższe podniesienie umysłowości: naukę, rozszerzenie wiedzy, i powiedziano jej (artykuł *Rodzina* d. 10 Października 1865 roku): „Najwyższem, najdostojniejszym prawem człowieka jest wykształcenie (umysłu); odsądzenie się od tego prawa—to abdykacja moralna, to wyrodzenie się z najszlachetniejszej enoty natury ludzkiej, która zawsze ku wyższości dąży“. Kobiecie-żonie powiedziano dalej: „Aby w małżeństwie dostojnie szczęśliwą i równą być mogła, potrzeba jej równego, choć może w kierunkach swoich różnego, oświecenia, potrzeba wyrobienia intelektualnego—bo tam tylko w związku małżeńskim może istnieć utrzymanie się kobiety tuż przy boku mężczyzny, gdzie wzajemną skłonność serc podtrzymuje taki, stosunkowo jednakowy, stopień ukształcenia, aby oboje wynieśli zeń jednokowy pogląd na życie i obowiązek, na świętość Boga i godność człowieka. Wtedy już wspólne im będą wszystkie uciechy i radości, troski i cierpienia, pragnienia i cele, a mężczyzna, czując obok siebie równą sobie duchem towarzyszkę, postawi ją na tem stanowisku dostojnym, które odmalować może jedynie owo piękne, starodawne wyrażenie, zowiące żonę: *przyjaciółką dożgonną*“.

Na wartość ekonomicznej działalności kobiecej zwróciła Redakcja zaraz w prospekcie uwagę kobiety naszej, dzieląc jej pracę

na dwa łamy: jeden, któryby był „pracą ludzkiej myśli, ludzkiego uczucia kobiety“; drugi, będący pracą na chleb powszedni. Upominano się u niej zarówno o tę pierwszą, jak i o drugą pracę i napisano jej: „dłoń kobiety może być wśród dobrobytu rodzin, jak ten symboliczny róg obfitości, z którego sypią się razem kwiaty i owoce“. Gospodarstwo domowe, tę do dziś dnia ekonomicznie najważniejszą i w zakresie swoim największą liczbę osobistości kobiecych zajmującą pracę, przedstawiono jej jako „podskarbnictwo chleba w narodzie“, kazano jej pojąć ważność tego stanowiska, i uczuć, że „nawet najdrobniejsze obowiązki pracy poniżającymi być nie mogą dla kobiety rozumnej, dlatego właśnie, że jest rozumną, a więc całość przeznaczenia swego ogarniającą“. „Dobra prądka porządnie mota nie uprzedzoną i dlatego nie potrzebuje osnuć się nią jak gąsienica, która się włóknem swoim tak w całości oplata, że na koniec robotnica zasklepi się w robocie, i, albo się w niej musi dusić powoli, albo dzieło własne rozerwać. Całą różnicę stanowi tu to, że rozumna myśl ludzka włada pracą, nie pozwala zatem owdłnąć się pracy“.

Tak było sformułowane pojęcie praw i obowiązków, tak wskazany kierunek, którego piśmo nasze trzymać się pragnęło i trzymało wiernie. Czy dobrze? czy należyście? sądzić nie mogę; lecz pragnienie najlepszości przewodniczyło zawsze pracy redakcyjnej, która opierała się na przekonaniach najgłębszych, z niezapominanym nigdy wzglęmem na

najwyższy społeczeństwa swego interes. Wiedząc przytem, jak silnym jest związek, który dobro z pojęciem piękna, z wyrobieniem estetycznego smaku wiąże; wiedząc, że stosunek sztuki do życia jest stosunkiem ideału do rzeczywistości—pismo nasze usiłowało zawsze mieścić w literackiej swej części tylko utwory z wyższym, szlachetniejszym uczuciem i myśli nastrojem, nie dopuszczając nigdy nie takiego, coby wyobraźni sfalszowane obrazy moralnego piękna, obalamuujące obrazy życia przedstawiało.

Kwestya pracy kobiecej, złączona z kwestyą społeczną i polityczną działalności kobiet, podnosząc się i rozpowszechniając, wywołała wśród społeczeństw Europy kwestyą emancypacji kobiecej, która, rozmaicie rozumiana, wskutek rozmaitego grupowania się pojęć rozmaicie przedstawiająca się umysłom, wymagała rozświecenia, postawienia jasno zasady: co tu jest naturalnym rozwojem nowożytnej cywilizacji i zarazem koniecznym wynikiem zmienionego stanu ekonomicznego, a co błędem i omamieniem wyobraźni, wylamywaniem się z pod prawa moralnego, które tkwi w idei rodziny? Jaką drogą i jak daleko może kobieta posuwać się w kierunku emancypacyjnym?—zadanie to było i jest podziś dzień jednym z najważniejszych zagadnień czasu, zwłaszcza dla społeczeństwa naszego. Redakcyja powie działa o niem kobiecie (Prospekt na r. 1875): „Postępem jest: nowy nabytek dobra, prawdy, piękna duchowego posiąść, nie utracając przecież nic z tego, co Ludzkość już sobie ze skarbów tych zdobyła i prawem spadku przekazała nam w tradycyi.”

Wprowadzając w tym celu jako stałą rubrykę *Kronikę działalności kobiecej* na polu prac rodzinnych, umysłowych i społecznych, na polu sztuki, literatury i przemysłu, pismo nasze wyświeciło kobiecie (prospekt na rok 1875), że pragnie nie tylko „podać do wiadomości to, co kobieta dokonywa wśród narodów różnych, lecz dać: z jednej strony podniecie i poparcie dobre dla rwących się do pracy kobiet naszych, z drugiej zaś być nauką i przestrożą, że są drogi fałszywe, drogi błędne, które tylko na manowce wywodzą.”

I dziś redakcyja powtarza to również, że pragnie, żąda, czyni to zadaniem swem najważniejszym, aby tę różnicę między prawdziwym a fałszywym postępem kobiecie wykazać, chroniąc od omyłek i zawodów, od zatracenia posiadanej już summy prawd i zasad, które się złożyły na całokształt moralnego u nas kobiecości pojęcia. Nie wszędzie jednakowo układały się społeczeństwa; nasza kobieta oddawna już wyrobiła sobie takie stanowisko społeczne, że wszystko, co się zamyka w rozumnym i szlachetnym pragnieniu samodzielności, która nie burzy, nie rozstraja, ale pracuje i do skarbnicy ogólnego bogactwa rzeczywiście coś dodaje—wszystko to, może ona otrzymać spokojnie, wziąć bezspornie, stając poprostu i poważnie do rzeczywiście produkcyjnej pracy.

Dla takiego skierowania pojęć, wyrobienia przekonań, rozświecenia mroków, pismo nasze podawało, na pierwszym planie je mieszcząc, rozumowane artykuły o wychowaniu, życiu rodzinnym, o moralnych i społecznych zagadnieniach naszego czasu, czyniąc to zawsze celem swoim, aby za pośrednictwem kobiety służyć rodzinie i społeczeństwu, nieść

wgłąb' ognisk domowych jasne, uczciwe i trzeźwe, lecz ciepłem obywatelskiego uczucia ogrzane, pojęcia praw i obowiązków człowieka wśród powszechności jego. Życiorysy osobistości wybitnych, dobrze Ludzkości zasłużonych i przedstawiających wzory wyższości duchowej, która zawsze u steru spraw świata stać i postęp tworzyć będzie, do tegosamego celu służyły Redakcyi naszej, tworząc zarazem przyczynek do odzwierciedlenia różnych kierunków działalności i myśli czasu.

Programmat to Redakcyi stary, że przecież nie zmienionym pozostaje, służyć też będzie i na przyszłość. Sto kilkanaście arkuszy rocznie podaje teraz pismo nasze w ręce czytelników swoich, rozszerzając się stopniowo, wraz z rozszerzaniem się ich koła. Dodam tu: Bogu dzięki! bo jest w tem oznaka uznania, i zespolenia się redakcyi z myślą i uczuciem tyłu sere i umysłów siostrzanych. Duma to moja i więcej nawet, bo szczęścia cząsteczka.

Na pomoc, na podparcie redakcyi, na umożliwienie jej pragnień, urzeczywistnienie jej dążeń, złożyło się grono współpracowników, których nazwiska wdzięczne wspomnienie znaleźć tu powinny:

Anczyc Wład., Asnyk (El-y), Bartkiewicz W., Belcikowski A., Bliziński J., Chlebowski Br., Chmielowski P., Chodzkievicz W., Czesław, Deotyma, Dobrski K. Dr., Dubiecki Maryan, Dzieduszycka Anast., Ehrenberg Gustaw, Faleński Felicyan, Fritsche Gustaw Dr., Gawalewicz Maryan, Gliński Kazimierz, Głowacki (Prus), Gomulicki W., Grabowski Bron., Grudziński St., Jenike Ludwik, Jeske-Choiński T., Jurkiewicz K., Kaszewski K., Kleczyński Jan, Kleczyński Józef, Kolankowski, Korczak St., Kościatkowska, Kowerska Zofia, Koziembrodzki Józef, Kraszewski Józef Ignacy, Kraushaar Alexander, Kremer Józef, Krzemiński St., Lenartowicz Teof., Lubowski Edw., Łagowski Floryan, Marya Jadwiga (z Domaszewskich Włoszkowa), Marrené W., Méyet Leopold, Moldenhawer Alex., Niewiadomski W., Nowicki Władysław, Plenkiewicz Roman, Płaskowski Dr., Pług Adam, Podgórska Jadwiga, Puzynina Gabryela, Reman Antoni, Rzetkowski Stanisław, Sewer, Sienkiewicz H., Sikorski Józef, Skimborowicz Hipolit, Sowiński Leonard, Stattler Juliusz, Starkman J. Dr., Struve H., Szczepański (Alf), Szujski J., Szymanowski Wacław, Wernic H., Węclewski Zyg., Węgierska Zofia, Wielisław, Wiśniowski Syg., Zawadyński Tomasz, Zawadzki Bron., Zawadzki Wład., Zbigniew, Zmichowska (Gabryella), Zubrzycki Piotr.

Z tego grona pracowników na polu literatury, nauki, sztuki ojczyściej ubyla liczba znaczna. Przestało bić gorące serce Zmichowskiej, spoczęli w grobie: Szujski, Kremer, Anczyc, Skimborowicz, Wójcicki, Grudziński, Zofia Węgierska, Gabryela Puzynina, Marya Jadwiga, Kolankowski, a wszystko to były talenta szlachetne, pióra zasłużone, ludzie uczciwi i dobrzy obywatele. Została po jednych puścizna długi czas w skarbcu bogactw naszych przechować się mająca; został po wszystkich ślad myśli podniosłej, ku wyższemu ideałowi zwróconej; została u ludzi dobra pamięć zasługi i pracy, społeczeństwu swemu miłośnie niesionej. Wszyscy byli tacy: kochali sercem całym; niech też teraz cienie ich dostaną, wspomnienie, nie tylko na

kartach dziejów literatury zapisane, ale mieszczące się w tkliwej pamięci tego pokolenia, któremu dawali niegdyś żywsze uderzenia sere i podniesienie dusz. Dzieła Zmichowskiej, oddawna wyczerpane, wyjdą wkrótce w drugim, pełniejszym niż poprzednie, wydaniu, i bogdajby ten testament myśli i uczuć najwyższej poetki naszej znalazł się w ręku każdej kobiety, która czuć i myśleć umie—każdej kobiety *Entuzjastki!* W piękności poetycznej, w szlachetności natchnienia blisko grupy trzech wielkich wieszczów naszych stojąca, miała poetka przed wysokim swym duchem wszystkie ich ideały, w sercu cały ich zapal gorący.

Założycielem *Bluszczu* i wydawcą jego od samego początku jest p. Michał Glücksberg.

Dodatek gospodarczy, prowadzi od chwili powstania pisma p. Luc. Cwierzakiewiczowa, uzdolniona w tym kierunku autorka kilku podręczników do domowego gospodarstwa kobiety.

Marya Ilnicka.

CZY WY CZUJECIE?

Czy wy czujecie, że liść, choć opada,
Nie bierze z sobą ostatniej nadziei;
Że chociaż ona chwiejna jest i blada,—
Nie da się stłumić przejściowej zawiei,
I tyle w sobie ma wytrwałej mocy,
Że znowu rankiem wychyla się z nocy...

Czy wy czujecie, że choć wiatr zabierze
Ozdobę ziemi, to przecież jej serce
Moc odrodzenia już w głębi zawiera,
Słońce przyszłości chowając w iskierce—
I tyle w sobie ma blasków promiennych,
Że aż się śmieje z wysileni jesiennych.

I nic tej mocy życia nie zagłuszy,
Bo choć są tacy, co mówią: „Nieżywa!”
Ona tajemnie tryumfuje w duszy,
Bo wie, że tylko śni i odpoczywa—
A potem naraz do życia się zbudzi
I powie: „Jestem!” do wątpiających ludzi.
Szczęsna.

KARTA Z PAMIĘTNIKA POETY.

Gdyby nie było na świecie poezyi,
to ta sama myśl, że człowiek, który
chodząc po ziemi, zebrał tyle jasnych
i nadzwyczajnych obrazów
i z niemi do grobu pójść musi—urodziłaby ją.

J. Słowacki.

Wrzesień.

Mam lat dwadzieścia trzy. Stałem na dziwnym progum...

Poezyja moja, która mi tyle dawała niegdyś szczęścia, zniknęła z duszy zupełnie.

Niegdyś! Dziwny to wyraz, kiedy go wymawia dwudziesty trzeci rok życia! Przecież dopiero rok jeden, jak odbiegła odemnie, ale ten rok wydaje mi się wiekiem, a czas moich uniesień i twórczości poetycznej jakąś imaginacyjną krainą.

Więc to ja naprawdę pisałem poezye, naprawdę

miałem tę moc błogosławioną przelewania uczuć i myśli w słowa? I cóż się z tem stało?

Przedemną leży tom moich poezyi; a ja się pytam sam siebie: „Czy to moje?”

O, tak pamiętam dobrze chwile różne mojego życia, gdy, zdala od wiru codziennych dążeń i spraw ziemskich, unosiłem się w krainę myśli, bujając jak wolny, nieśmiertelny duch.

Nie czułem jednak żadnej przykrości w powracaniu znowu na ziemię: ziemia wydawała mi się tak piękną, rozkoszną, cudowną; poddawałem się jej wrażeniom i czułem na zamyslonem czole mojem dotknięcie skrzydeł harmonii natury.

Wewnątrz mojej istności czułem rozkwitanie jakiegoś, a myśli moje i uczucia mówiły mi tajemnicie: „Idź naprzód.” Szedłem. Miałem serce gorące, duszę rozwiniętą; przeszłość, wiejąca ze starych kronik, z ruin, z muzeów, mówiła mi: „Pamiętaj o mnie.” Siadałem wtedy i, czoło oparłszy na dłoń, dumałem nieraz dzień cały, który tę przeszłość tem dalej jeszcze odsuwał odemnie.

Gdy noc gwiazdzista otworzyła się nademną i oddech wieczora napełniał mi piersi jakimś niepokojem, biegłem za miasto i szedłem prędko gościńcem, spiesząc się, jakby mnie coś wołało, a nademną szły gwiazdy tąsamą, co ja, drogą, i księżyc krok w krok za mną, jakbyśmy do jednego dążyli celu. Podnosiłem głowę i dumny byłem, że cały jeden słup powietrza, jedna kolumna błękitu, opierała się na mojem czole. Czułem w takiej chwili, że przyszłość wyraźnie do mnie przemawiała, a ja w uniesieniu, rzucałem jej na cały głos, pod gwiazdy moją odpowiedź: „Wierz!” Mgła nocna otulała mnie swoją drapeką, bodiaki rosnące przy drodze stroiły krańce mego płaszczka, ćmy nocne siadały mi na ramionach; a ta cała tajemniczość, rozlana dokoła, szepotała mi cicho: „Zgadnij, zgadnij!” Musiałem dość fantastycznie wyglądać w tym stroju i byłem z tego zadowolony. Cóż dziwnego? Byłem taki młody, byłem poetą!

Teraźniejszość porywała mnie swym prądem. Oburzałem się na przewrotność ludzi; chwyciłem niecierpliwie wypadki z dni politycznych wstrząszeń; z uszanowaniem patrzyłem na wielkich pracowników popychających naukę naprzód i pomimo tylu błędów, upadków, zaćmień i kłamstwa, czułem, że wiek nasz nie jest jeszcze tak złym, jak go przedstawiają sceptycy. Strumień życia, bijący w ludzkości, której byłem członkiem, przechodził i przez moje serce, choć tylko uniesieniem myśli i porywami wolnej woli nalażałem czynnie do ruchu epoki. Czułem to dobrze, że ja, samotny wędrowiec wśród księżycowej nocy, nie byłem tak całkiem jedynym, w tej szafirowej świątyni rozmyślenia; że dokoła mnie były niewidzialne tłumy marzące jak ja, i nie dziwiło mnie to nigdy, gdy bijące się skrzydła mej myśli napotykały w powietrzu na skrzydła tych niewidzialnych duchów. Spokój panował w mej duszy...

Pamiętam, gdy wiosna się zaczynała, i we mnie rozkwitał świat nowy. Biegłem z dziecinną radością na łąki, zbierałem fiołki, przypinałem je do piersi i tak szedłem pełen myśli, marzeń, natchnień, pyszny jak tryumfator młodości i siły. Wraciłem potem do domu i choć miałem pokój niewygodny i ciemny, to, siedząc przy oknie i patrząc na miejskie dachy, kominy i dymy, pisałem poezye świeże, wiosenne, bez żadnego wysilenia, bez trudu, jednym tchem. Przyszła mi kiedyś myśl: czy kwiaty cierpią, rozwijając się i kwitnąć? W nocy dnia tego marzyłem długo; wschodzące słońce zastało na moim stole jedną z najpiękniejszych moich poezyi. a ja byłem taki szczęśliwy! Nie, kwiaty cierpieć nie mogą, gdy skronie ich płoną, a usta wdychają wonnemi oddechami!

Latem szedłem w góry; wieszając się po urwiskach i skałach, zaglądałem w przepaście, stąpałem po nietopniejącym nigdy śniegu; na szczytach zdejmowałem mój wielki, czarny kapelusz i z przyjemnością czułem, jak wiatry alpejskie owiewały mi czoło. Na dole, podemną bujał orzeł skalny; a ja z uśmiechem czułem się wyżej od niego. Na dole, podemną, huczał piorun: a do mnie na wyżynie, dochodziły tylko echa burzy na ziemi. Między zawieruchą ziemi a spokojem

nieba, stałem, ja—mysłący duch. Byłem szczęśliwym, że jestem człowiekiem, że jestem poetą.

Kiedy jesienią liście żółtkle leciały powietrzną drogą, nie wiedzieć gdzie, jak myśli smutnego sieroty, i wszystko się kończyło w naturze, ja patrzyłem na ten epilog kwitnącej przyrody bez smutku. Każdy liść wnosił mi w duszę myśl nową, jakby siła tworzenia wpływała we mnie z gasnących piękności świata. Żegnałem wtedy ten obraz ostatni z tą pewnością, że za parę miesięcy zobaczę nową galeryę wiosny, lata, jesieni. Zimą pisałem zmarzniętą ręką gorące słowa mych uczuć i, choć póki mój byłwał czasem zimny, ja czułem, że jestem jedną z tych istot, którym nie czas jeszcze zmarznąć na śniegu bezwiednie.

Wszystko tak na mnie działało! Nic na wielkim świecie nie przechodziło koło mnie obojętnie; świat cały zdawał mi się stworzoną dla mnie umyślnie szkołą wrażeń, a ja czułem się ulubionym uczniem nauczyciela. Nieraz też kładłem czoło na stopniu ołtarza i słuchałem głębokich tajemnic swojego sumienia. Czułem prawie dotykalnie, jak dusza moja się rozwija i, choć przechodzić musiałem i przez smutne i chmurne godziny, szedłem śmiało naprzód z uniesieniem dla szczęścia, z odwagą dla ciosów. I dziwna rzecz, jak mi nieraz mało było potrzeba, abym pisał! Czasem znalazłem w książce jakiej kilka wyrazów obojętnych, zwyczajnych: z przestawionego ich szyku w mej wyobraźni powstawało coś nowego, pięknego, całkiem innego. Spotkałem biednego na ulicy; w żebraczem jego spojrzeniu wyczytywałem jakieś nieznanne mi tajemnice życia, nad którymi musiałem potem rozmyślać. Spozstrzeżalem w kościele młodą panienkę, która, nie otworzywszy ani razu swej książki do nabożeństwa, patrzyła tylko w ołtarz smutnymi oczyma, aż z nich nakoniec błysła łza wielka i powoli spływała jej po twarzy: ta łza następnej nocy nie dała mi spokoju, póki nie zamknąłem jej w sonecie. Ale nic nie miało nademną takiej władzy, jak natura.

Oddawna nie mając rodziców, potrzebowałem koniecznie kogoś, komubym się mógł od czasu do czasu rzucić w objęcia, czy to w chwilach uniesienia radości, czy pogrzebienia. Natura otwierała do mnie ramiona; ja biegłem w nie, wiedząc, że tam znajdę zawsze spokój, piękność i natchnienie. Młode dusze, kolledzy moi, nazywali mnie przez żarty „kochankiem przyrody” mieli mnie za naturalistę, za botanika: nie byłem jednak naturalistą, nie brałem się do otrząsania z porannych kwiatów—rosy, nie pytałem się ich: zkad przychodzą i dlaczego? Ja kochałem je za to, że są, i że są tak śliczne, a wchodząc w myśl moich towarzyszy, gdy oni biegli na widowiska, do teatru lub na wycieczki, ja, żegnając ich, mówiłem, że idę do mojej narzeczonej.

I wtedy szedłem na łąki dalekie, w najgłębsze głąsze lasy. Natura była dla mnie szkołą piękności i harmonii zewnętrznej, najobszerniejszą estetyką; a z tą potęgą wrażeń, którym mogłem oddać całą niezachwianą wiarę, byłem przy źródle prawdy. W tych cichych godzinach obserwacji dusza moja, nachylona nad otwartą przedemną księgą przyrody, brała w siebie każdy szmer, i won, i barwę każdą i, przejęta wdzięcznością, podnosiła się na coraz silniejszych skrzydłach do góry. Nie stałem ja do natury w takim stosunku, w jakim widywałem Goethego; nie czyniłem sobie z niej bóstwa, nie unizałem się przed nią, ani się nie upokarzałem, — ja, duch, wobec materji;—ale uważałem ją za najczystsze zwierciadło zewnętrznej piękności, za wzór, za przykład zgody najdrobniejszych cząstek w całości, gdzie jedno ziarenko piasku na pustyni ma swoją liźbę, gdzie jedna gwiazdka, jeden pyłek luccioli, nie jest we wszechświecie zbytecznym! Patrzyłem z namaszczeniem w to zwierciadło bez skazy, w którym czytałem wytknięte dla ducha drogi. Natura nie przygniatała mnie ani swoją pięknnością, ani swoim ogromem. U stóp śnieżnej i niedosięgniętej Jungfrau alpejskiej stałem, podnosząc wprawdzie stęsknione oczy, ale czułem, że człowiek nawet u stóp najwyższych olbrzymów szczytów ich przenosi swem czołem. Wierzyłem, że człowiek jest najwyższym szczytem natury.

W racjonalnym jej rozwoju, w doskonałym stosunku pomierności i siły, w ogólnem zlewaniu się wszystkiego, widziałem drogi wskazane dla ducha dążącego do ideału, widziałem, jak stopniowo on ukształcać się powinien, jak poezya i życie mają się kojarzyć, jak się zdobywa jednolitość piękności. I dlatego, żeby ten prąd wiejący z nieba; z powietrza, mógł swobodnie działać na mnie, lubiłem samotność. Kiedy bowiem byłem w obliczu natury z drugim człowiekiem, widziałem jak mnie więcej duch jego zajmuje, niż otaczająca nas wiosna, i choć poddawałimy się wspólnie rozkoszy majowego poranka, prąd oddziaływający na duszę naszą, płynął nie od natury na nas, ale od jednego z nas, przez naturę do drugiego. Lubilem i uwielbiałem samotność.

Chodziłem czasem na cmentarz i tam na grobach nieznanym mi ludzi modliłem się gorąco i zalewałem się łzami. Myślałem wtedy z oburzeniem o Hamlecie, kołyszącym w ręku czaszkę dawnego przyjaciela i mówiącym z filozoficzną ironią niedowiarka: „Biedny Yoricku!” Ja czułem na cmentarzu coś więcej, niż wszystkiego nieunikniony—koniec, i dlatego byłem tam bez żadnego sarkazmu, czułem, że „w grobie tyle światu, ile nad kołyską marzeń.” Tam, godzinami rozmyślałem nad życiem, nad śmiercią, nad wiecznością, na sobą. Kładłem głowę między zroszone trawy mogiły, głowę płonąca marzeniami szczęścia, i czułem, jak rosa chłodna studziła mi—czoło, ale nie serce. Wiedziałem, że i ja mam umrzeć, lecz pierwiej trzeba mi było żyć, działać, śpiewać. Poezya moja, jak anioł życia, stała nademną i budziła mnie, gdy za głęboko zstępowałem w krainę cieniów i, kiedy pod wieczór wchodziłem do siebie, nie byłem wcale zamśmucony tą cmentarną wycieczką.

Byłem lirykiem, marzyłem o dalszych stopniach poezyi, ale nie spieszyłem się na drodze; z głęboką rozkoszą przebywałem stopnie podnoszenia się mego ducha i chciałem na każdym z nich wszystkie zebrać wrażenia, nie opuścić żadnego z natchnień. Byłem szczęśliwy!

O, mój Boże, takie to ja wiodłem życie... A dziś? Nie mam poezyi mojej, choć wszystko wkoło mnie tak samo. Widzę, pełen blasków, słońca wschód, głębłą nieba, pełną spokoju, noc z czarem niewyczerpanych tajemnic; czytam, patrzę, myślę, i nic z tego! Nic z siebie wysnuć nie jestem zdolnym. Jakby się jakaś struna we mnie zerwała, brak mi czegoś w piersiach.

Wrażenia wpływają do mojej duszy i, nie tknąwszy jej, wylatują z nieurodzajnej mojej fantazyi, zostawiając smutek i jeszcze coś gorszego nad to,—zniechęcenie. Mam jakiś żal do samego siebie, tracę ufność w siebie, we własną moc. O, takiej samotności nie znałem jeszcze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GLUPIA DZIEWCZYNA

NOWELLA

przez

Edwarda Lubowskiego.

(Dalszy ciąg).

Szczególniej Aniela, z natury pesymistycznej usposobiona, drwiła ironicznie z jej zachwytów nad tem, że tu na świecie tak dobrze i pięknie. Świat byłby się zapewne i jej podobał, ale nie z okienka małego domku na przedmieściu małego miasta, lecz z karety pędzącej po równym makadamie paryzkim; dobrze zaś byłoby jej wtedy, gdyby na zawołanie miała zabawę, zbytki, festyny i pochlebstwa żebrzących o jej spojrzenia młodzieńców. Z przedmieścia Krakowa świat ten wydaje się nudnym, przykrym, nielitościwym dla ubogich, a monotonnym tak, że aż do rozpoczyna samobójczej doprowadzić może.

go trochę. Znała wprawdzie usposobienie chłodne Aniela i jej rozsądek; atoli kto wie? dyabeł nie śpi. Pan Cezar nie szepcze wprawdzie do ucha, nie szuka rozmowy we dwoje, ale zajmuje ciągle swą osobą, rozrywa przyjemnie a patrzy czasem tak ognście swemi ciemno-niebieskimi oczyma! Takie oczy żywiej mówią od najdłuższej oracyi, i rzeczywiście Aniela, która dawniej zdawała jej sprawę z każdego ruchu p. Kalixta, teraz milczy uparcie, nie skarżąc się na to, że p. Cezar nic nie wspomina o małżeństwie.

Czyżby się miała nim zająć naprawdę i przyjemność znajdować w samej jego obecności?

Owszem, dobrze, niech ona go kocha, ale niech i on odpłaca się wzajemnością. A jeżeliby to miała być z jego strony tylko zabawka, tylko przepędzenie czasu lub ćwiczenie się w podjazdowej wojnie miłosnej?

Strwożona nie na żarty, postanowiła poradzić się—kogo?—nie zgadniesz chyba czytelniku—oto tej wiecznie pomijanej Antosi. Upatrzyła chwilę, gdy Antosia, podlewając doniczki z kwiatami, nuła ukraińską piosenkę

— Antosiu — rzekła niby od niechcienia — dlaczego nie chcesz z nami iść do teatru? P. Cezar przysłał właśnie łożę.

— A jakżebym ja, proszę mamy, wyglądała w łoży?

— Tak, jak my.

— Anielcia co innego, a ja co innego, chociaż... Umilkła nagle, przerażona.

Matka podchwyciła;

— Co chociaż? — powiedz — czegoż teraz tak zawsze milczysz, gdy kto mówi o p. Cezarze?

— Bo się go boję.

— Tak, jak ja — pomyślała matka i, teraz już z widocznym przestrachem, pytała dalej:

— Czego się boisz, powiedz, czyś co takiego dostrzegła? Mówże szczerze przed matką.

— Cóż mam mówić, kiedy sama nic nie wiem. Boję się go, ale nie rozumiem dlaczego; choćbym się go bać nie powinna, bo ciągle białe swe zęby pokazuje i tak się trzpiota jak student. A nie wie mama: czy Anielcia go kocha?

— Zkądże ja mam wiedzieć! — ofuknęła się matka i zaniepokoiła się bardziej jeszcze.

Wieczorem zaproponował pan Cezar zabawę w „pytania i odpowiedzi.“ Zaproszono i Antosię. Antosia pisała ciągle takie zapytania: „Czy pan lubi konfitury?“ — „Czy pan zawsze prawdę mówi?“ — „Czy pan ma śmiech na ustach tylko czy i w sercu?“ — na co ogromnie rumieniła się Aniela, ale pan Cezar, przeciwnie, śmiać się przestał, wpatrując się bardzo bystro w oczy tej dziwacznej dziewczynie. Aniela zadała mu kilka tajemniczych pytań, na co on również tajemniczo odpowiedział, a jedną z kartek nawet ukryła zrzeczenie za gorsem. Matka tego nie dostrzegła, tylko Antosia, która, niby nie patrząc, widziała jednak wszystko.

Pewnego wieczora przyszedł wcześniej niż zwykle pan Cezar i pierwszy raz szeptał coś długo z Anielą. Kiedy przyniesiono lampę i zastawiono do herbaty, odezwał się nagle:

— Bardzo przykry otrzymałem dziś list z domu.

— Cóż takiego? — zapytała matka.

— Wujaszek mój dawny opiekun, zachorował, a przytem i rządcą źle się rozporządził w gospodarstwie. Muszę wracać.

— Wracać? — zawołała przerażona matka — wyjeżdżasz pan... kiedy?

— Za dwa dni najdalej.

Matka spojrzała na Anielę, która, mimo nagłej bladeści, wydawała się obojętną.

— Ale pan powrócisz rychło? — spytała matka.

— Nie prędzej aż za dwa miesiące.

Nastała złowieszcza pauza, którą przerwał p. Cezar, siląc się na rozweselenie obecnych; tak mu się to jednak nie udawało, że się pożegnał daleko wcześniej niż zwykle.

Po jego odejściu zapytała matka Aniela z pewną gwałtownością:

— I cóż ty na to?

— Nic, przecież go zatrzymać nie mogę.

— Moja Anielciu, dziwnie się zmieniła. Milczysz przedemną, chowasz się z sekretami, a przecie wiesz dobrze, w jakim celu wprowadził go

radca tutaj. Przez tyle tygodni byliście ciągle razem: i nic nie wiesz?

— A cóż mam wiedzieć?

— Czy cię kocha?

— Nigdy mi tego nie mówił.

— Więc się sprawdziły moje przecucia: chciał czas zabić u nas, a teraz wyjeżdża sobie i nie wróci pewnie więcej.

— Wróci, tak mi przynajmniej zaręczał.

— I ty mu wierzysz?

— Muszę.

— Anielciu, dziecko moje, czyżbyś go naprawdę kochała?

— O wcale nie — odrzekła chłodno — chociaż on podobać się może, alem poznała po kilku wizytach, że potrzeba, ażeby on mnie pokochał, jeżeli się ma ze mną ożenić.

— I udało ci się? — krzyknęła matka z nietajoną radością.

— Zdaje mi się, nie jestem wszakże tego pewna. Pan Cezar bardzo jest popsuty, lubi pochlebstwa i pokorę: odgrywałam więc komedią, udając jedno i drugie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

VI.

Przy dzisiejszych telegrafach i dziennikach, które w gnieniu oka z nich korzystają, ciężkie byłoby zadanie korespondencyi, przybywałoby się z nowinami zawsze późno—gdyby... gdyby ta dobra i wyrozumiała publiczność po pół roku nie przyjmowała łaskawie tychsamych nowin, tylko odgrzewanych, i nie zgadzała się na uważanie ich za świeże.

Nie chcę tu ani wymieniać, ani wytykać nikogo; ale ileż razy krwawo napocić się było potrzeba, aby znaleźć coś nowego i wysłać czempredę. I ileż razy po napisaniu i wydrukowaniu jakiegos sprawozdania z przeczytanego dzieła w sześć lub ośm miesięcy później znajdowałem w naszych wydaniach zbiorowych, czasopiśmiennych, tę już przestarzałą nowość z nieuchronnym dodatkiem: „Tylko co ukazało się!“

Otóż to „ukazało się“ przychodzi nieraz o rok cały zapóźno. Podczas gdy Amerykanie dla schwywania jakiejś świeżej nowiny nie żałują ani trudni pieniędzy, u nas wolno jest paść czytelnika czem się spodoba. Wszystko tak mało u nas zajmuje powszechność czytającą, że ztąd też i nasi reporterowie nie poczuwają się do obowiązku zalewania sobie zbytniego trudu, a redakcyje znowu, redakcyje — są pobłażliwe.

Niema kontroli, niema krytyki: gdyż — *sit venia verbo* — niema miłości rzetelnej dla literatury i spraw umysłowych.

Nie ja pierwszy czynię to spostrzeżenie. W Anglii każdy człowiek cywilizowany, dobrze wychowany, zajmuje się żywo wszystkim, co się dzieje w świecie; interesuje go tak dobrze nowa książka lub nowy wynalazek, jak i zagadnienia społeczne i wszystkie fakta wpływające na ogólne koleje ludzkości.

Ameryka w części tylko pewnej naśladowała Anglię i poszła za nią. We Francyi zajmują się tylko tem, co zblizka obchodzi lub bezpośrednio potrąca. Nieuctwo niedowierzenia panuje tam pomiędzy samymi literatami we wszelkich przedmiotach i sprawach poza obrębem zajęć codziennych, rzemiosłowych. Baki chronologiczne, geograficzne i inne w książkach i dziennikach francuzkich, wprawiają niekiedy w zdumienie. Pomiedzy innymi Jules Janin, człowiek z umysłem tak subtelny, stylista tak świetny, głośnym był ze swych anachronizmów i parachronizmów i rozsiewał je po swej drodze z niezmaconym spokojem, który sam w sobie był uwielbienia godnym. De Amicis w swej „Podróży po Hollandyi“

przytacza prostych wieśniaków, który posiadali tak doskonałą znajomość rzeczy literackich, tak byli wogóle wykształceni, że w nim istotny podziw i zachwyt wzbudzali.

Ba, dobre to dla Hollendra zamkniętego pomiędzy kanałami i odciętego od reszty świata, ale Francuz (nie mówię o nikim innym, i mam do tego powód) ma w sobie coś z dawnego Rzymianina, który nie dbał o świat poza nim będący — był to bowiem świat barbarzyński. O barbarzyńcach można bezkarnie nic nie wiedzieć.

Francuzi i ci wszyscy, którzy uważają siebie za krocących na czele cywilizacyi i kierujących postępem ludzkości, znajdują zatem wymówkę dla swego nieuctwa prowadzonego z rozsądem i systematem. Ale my, my biedni mali i słabi — my powinniśmy uczyć się studyować, wiedzieć. U nas nieuctwo jest grzechem nieprzebaczone. Wielza naszą bronią, ona daje nam siłę.

Wolno jest jednej z tych istot uprzywilejowanych, które należą do wielkich narodów, naprzykład, nie znać języka starosłowiańskiego i którego z dziś panujących słowiańskich; wolno nie mieć wyobrażenia o języku litewskim; wolno nie wiedzieć nic z literatury i historii którego z ludów Wschodniej Europy, dajmy na to z literatury i historii polskiej. Ale w tym ostatnim przypadku każdy z nas, ktoby nie umiał ani pofrancuzku ani ponemiecku, i nie znał wcale historii ani Francyi, ani Niemiec, byłby bardzo nieszczęśliwym. My więc zmuszeni jesteśmy, — Bogu niech będą dzięki — umieć więcej, niż ci, którzy się nad nas wynoszą. I dlatego też chciałem, aby dzienniki nasze odznaczały się starannością i dokładnością swych sterów redakcyjnych.

Pod tym względem jest już widoczna poprawa, ale tego jeszcze nie dosyć. Powracam do tematu nowin dziennikarskich, które pozostawiają jeszcze wiele do życzenia. Prawda, że dzienniki obce również dopuszczają się grzechów i grzeszków niedokładności, ale co innego we Francyi lub w Niemczech, to nie przystoi u nas. W Niemczech przed dwoma tygodniami czasopismo ilustrowane *Ueber Land und Meer* podało Pawła Heysego *Don Juan's Ende*, jako dramat nowo napisany, podczas kiedy utwór ten wydrukowanym był i przedstawionym na scenie, jeżeli się nie mylę, jeszcze dwa lata temu. Błąd jest tem dziwniejszy, że dotyczy jednego z koryfeuszów literatury niemieckiej.

Zaglądam do notat swoich, aby pisać dalej, i widzę z przerażeniem, że wszystkie moje nowiny wyglądają już jak zwiedłe kwiaty.

Z zakresu księgarstwa godną jest zapisać w tym liście wiadomość o nowem przepysznem wydaniu Goethego „Podróży Włoskiej“ (Italiaenische Reise), ze wspaniałymi ilustracyami — ale i z niemiłej wspaniałą ceną 75 marek za jeden tom. Wydanie to, oczywiście, nie stanie się nigdy popularnem w tem znaczeniu, żeby zdołało przyniknąć do większych kół publiczności kupującej książki i rozpowszechniło się. Wydawcy ofiarowali je cesarzowej Augustcie.

W roku zeszłym odtworzone rysunki naszego Daniela Chodowieckiego — rysunki tak żywo zajmujące, a przez artystę do własnych notat z podróży odbytej z Berlina do Gdańska dodane. Widzę, że powodzenie tego zbioru musiało poddać myśl zebrania główniejszych arcydzieł ryłca tego rytmownika i rysownika. Chodowiecki zostawił *około trzech tysięcy* różnych ilustracyi i płyt. Nowe wydanie obejmuje ich ze sto, nie więcej, ale jest to już prawdziwy wybór. Nasi zbieracze pięknych rzeczy powinny się tem wydawnictwem zainteresować.

Autor *Klandyuszów*, Ernest Eckstein, romansopisarz dość czytany i ceniony w Niemczech, zapatrzwszy się na Ebersa, ułożył był historią rzymską w romans — a teraz daje nam znowu obraz dzisiejszego społeczeństwa. Nowy ten jego utwór nosi tytuł *Zapis* (Das Vermächtnis). Jako przygoda, jako wynalazek czegoś nowego, jest to trochę hazardowne. Rusztowanie wzniezione tu bez troski o prawdę i prawdopodobieństwo; ale wykonanie, ale szczegóły, ale typy ludzkie, występujące w tej bajce, dobrane są z talentem, odznaczają się silną charakterystyką i mają tę zaletę, że wyglądają jakby wycem

schwytane. Eckstein ma dużo złośliwości i pochwytuje śmieszność z wielką umiejętnością. Czasy obecne dostarczają mu obfitego żniwa fizjognomii charakterystycznych. Mniejsza o romans, skoro te szczególży prawdziwie nakazują nam zapomnieć o nieprawdopodobieństwie przygody powieściowej.

Śmierć Makarta dowiodła jego popularności. Dzienniki pełne są jeszcze opowiadań o jego życiu i dziełach. Wyrzucano mu jego lekkość, płytkość jego pomysłów, błahość przedmiotów, które do malowania wybierał. Dziś, kiedy go już niema, cizami detraktorowie jego sławy widzą, że ten kolorysta zadziwiający zajmował w malarstwie współczesnym miejsce, które niełatwo po nim kto zapełni.

O jego przepysznym atelier pisałem w poprzednim liście. Słychać teraz, że ten prawdziwy przybytek sztuki, bo zarazem jej pracownia i wystawa, ma być zburzonym, a skarby, które się w nim mieściły, pójdą na cztery wiary—zamienia się na gotowiznę. Dopomina się tego interes pozostałych dzieci i zarazem interes miasta, które oddawa już zamierza wyprowadzić nową ulicę, mającą przejść przez terytorium domu Makarta.

Niepodobna jeszcze raz nie zatrzymać się nad tą pracownią Makartowską. Było to cudo malowniczości. To, co ją składało, pochodziło z różnych wieków historii i różnych stron świata: Wieki Średnie, Wschód, Starożytność, każda z tych epok, każdy z tych rodzajów sztuki i przemysłu pięknego przyniósł coś od siebie dla wydania tego rozkosznego *bric-à-brac*. Artysta uporządkował to wszystko, ustawił ze starannością, taką, jakgdyby malował jaki obraz. Wszystko tu zlewało się z sobą w jedną harmonię, tworząc fantastyczne widzenie, którego naśladować niepodobna. Fotografie Angerera, wspomniane w przeszłym liście, dają o tej pracowni wyobrażenie bardzo niedokładne.

W przybliżeniu oceniono wartość przedmiotów znajdujących się w atelier na 200,000 guldenów, ale z wyjątkiem gobelinów, w wielkiej ilości i powiększej części dość ładnych, inne ozdoby i sprzęty, wazy, brzozy, roboty snycerskie w drzewie, wzięte z osobna, oderwane od miejsca, odłączone od innych, z którymi je artysta, z wielkim poczuciem piękna malowniczego, zespolić umiał, wiele bardzo z ceny swej utracą. Chcąc na tem wszystkim zrobić grube pieniądze, trzeba było mieć pod ręką Londyn lub Paryż, a nie Wiedeń, gdzie i pieniądze nie płyną strumieniami i lubownicy, a znawcy do rzadkości należą.

Z tem wszystkim pracownia wyobraża główną summę w tym kapitale, na jaki szacują spadek po Makarcie.

W Wiedniu, gdzie artysta był popularnym pomimo swej nieprzystępności, myślą już teraz o wzniesieniu mu pomnika.

Gazety codzienne przyniosły już czytelnikom *Bluszczu* wiadomość o testamencie zmarłego w tych czasach Barczewskiego. Większą część fortuny swej nieboszczyk przeznaczył na zapisy użyteczności publicznej, na uniwersytety, szkoły, muzea. Prawdziwie dumnym być można z tego współobywatela, który, będąc tak skromnym, cichym, tak mało znanym, w ostatniej godzinie swojej nie myślał o niczem tylko o kraju, o zasileniu instytucji wypromienających z siebie oświatę, o podniesieniu szkół, o rozwoju literatury i sztuk pięknych.

Obok Barczewskiego trzeba także postawić Natansona, którego zapis dla Kassy Mianowskiej jest także bardzo znacznym i wiele obiecywać pozwala. Summa kilku tysięcy rubli na nagrody za najlepsze dzieła naukowe lub literackie może zapewnić nagradzanym przyszłość bez trosk, da im bowiem niezależność w chwili wstępowania w świat,—oczywiście, przypuszczamy tu, że młodzi pracownicy będą mieli pierwszeństwo do współubiegania się. Rozporządzenie testamentowe, jak nam się zdaje, powinno nie pozwalać na zbytnie rozdrabnianie nagród, co zmniejszyłoby doniosłość zapisu.

Po legatach Barczewskiego, dochodzących do wysokości kilkukroć stu tysięcy złotych austriackich, po zapisie Natansona, niech nam będzie wolno zapisać tu dar „nieznajomego”, którego

jeszcze wymienić nie możemy, a który zapisał instytucji naszej „Macierzy” 20,000 guldenów.

Jest to pierwszy tak znaczny zapis, występujący w świeżych zresztą jeszcze rocznikach tej młodej instytucji. Wciągamy go z gorącym uznaniem na rejestr wdzięcznego serca naszego. Stany Galicyjskie wzięły Macierz pod swoją opiekę i uchwaliły dla niej zapomogę roczną, z której część pewną obrócono już na prowadzenie pisma ludowego. Komitet wykonawczy, jak widać z jego sprawozdania za rok przeszły, robił wszystko, co mógł, ażeby skromnymi środkami jaknajwięcej dokazać.

Summa summarum, pomimo skarg odzywających się na złe czasy, na niskie niesłychanie ceny wytworów rolnictwa, na ogólny zastój w ruchu ekonomicznym i t. d.,—objawia się stopniowo polepszenie istotne w położeniu społecznym, pozwalające korzystnie wróżyć o przyszłości. Dla popierania interesów rolnictwa i przemysłu powstają stowarzyszenia umysłne, inteligencja i kapitał łączą się za sobą w celach wspólnej pracy. Widać chęć lepszego zbadania zasobów kraju, głównie zaś bogactw zamkniętych w ziemi. Tak ożywiona działalność, niepodobna, aby miała pozostać bez skutków.

Nigdy przedsiębiorczość prywatna nie była większą. Zawijają się nowe spółnie, zakładają zbiorzy, muzea. Zapisy testamentowe pokazują, że każdy, kto może, uważa za swój obowiązek przyczynić się do dobrobytu społecznego. Gdyby nawet początek był trudnym a zakres działalności szczupłym, w niczembyto korzystnych widoków nie zmieniło: czas robi swoje, niech tylko ludzie robią co do nich należy.

Na zakończenie dzielić się wrażeniem z dwóch najnowszych zeszytów pięknego wydawnictwa p. Wierzbickiego *Wzory przemysłu domowego*. Uderzyły mnie szczególnie prace igłą robione przez wieśniaczki. Mają one wielce oryginalny charakter, własną swoją estetykę, której wybredny nawet smak nie zdoła odmówić naiwnego wdzięku.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Sienkiewicz Henryk: Ogniem i mieczem, powieść z lat dawnych, wydanie drugie, przejrane i poprawione, 4 tomy. (I 1 str. 274, II str. 290, III str. 318, IV str. 233). Warszawa, 1884, nakład Gebethnera i Wolffa, druk S. Niemierzy, 12-mo.

Są książki przeznaczone dla małej tylko liczby i są pisarze czytani przez małą tylko liczbę. Powieść z natury swojej przeznaczoną jest dla wszystkich, dla tego żywego ogółu, który i martwą naukowość i wszelki specjalizm w sobie rozpiera: ztąd też powieściopisarz wtedy dopiero z pracy swojej zadowolonym być może, kiedy się dzieła jego znajdują w rękach powszechności czytającej tego społeczeństwa, do którego należy. Takiego zadowolenia nie przestaje doznawać Krassowski, takim długo cieszył się Jeż i takie wreszcie stało się obecnie udziałem Sienkiewicza. Jego powieść *Ogniem i mieczem*, w dwóch jednocześnie czasopismach drukowana, w wydaniu książkowym rozeszła się w ciągu kilku miesięcy i teraz już mamy ją przed sobą w ponowionej i poprawionej edycji. Utwór pisany szybko nie mógł mieć wykończenia należytego w samej kompozycji, i chcąc go, choćby tylko pod tym jednym względem, ocenić, potrzeba go wziąć z temi poprawkami i uzupełnieniami, jakie do niego już po pierwszym uksiążkowieniu weszły. Na nowe wykanie czekaliśmy właśnie, aby się wywiązać z przyrzeczenia danego czytelnikom *Bluszczu*.

Nim pomówimy o dziele, dotkniemy w przelocie epoki, którą to dzieło przed oczyma naszymi stawia. Była to epoka straszna, pełna klęsk i błędów, skaz i plam politycznych i moralnych epoka wojny domowej, niewolna od hańby a dyszącą okrucieństwem. Autor *Ogniem i mieczem* mimo tych znamion czasu, mimo wysokiego powołania, jakie ma powieść historyczna, nie wahał się z takiej i tej właśnie epoki wysnuć przedzy wydarzeniowej dla swojego utworu. Jest w tem wiele

odwagi, która graniczyłaby z zuchwalstwem lub tendencyjną lekkomyślnością, gdyby w tym obrębie przeszłości, do którego zawitała twórcza fantazyja autora, nie było nic więcej prócz cech ujemnych; gdyby ją pociągało samo tylko bogactwo życia, wielka różnorodność zjawisk, przepych kolorytu, ustawiczność ruchu,—wszystko co fantazyją, że tak powiemy, zmysłową, pociąga. Ale epoka owa jest jeszcze epoką wielkich uczuć, wielkich bólów i radości, trosk i postanowień, wielkiego męstwa i wielkich charakterów—a pod względem treści duchowej przedstawia takiesame bogactwo, jakim przez formy swoje najpospolitszy nawet umysł uderza. Z takiej epoki gdzie światła i ciemności ważą się ustawicznie ze sobą, gdzie katalizmy idą jedno po drugich, a spokój ucieka przed niemi, gdzie natura ludzka od piekła do nieba się przerzuca, gdzie nieszczęścia i małości więcej bo i jednostek małych więcej niż wybranych—wykroić epopeję, jaką powieść historyczna w pewnej mierze być powinna: zadanie to daleko trudniejsze niż wtedy, gdy się ma do czynienia z epoką czystych tryumfów i zgodnych, dodatnich dążeń. Ale, jeżeli mam prawdę powiedzieć—dla talentu rzeczywistego szczytniej jest z pierwszej niż z drugiej kopalni wyłamywać kamienie do budowy. Prawda, że w sztuce dobre chęci nie nie znaczą; trzeba dać koniecznie czyn, to jest życie i piękno; istotny wszakże talent i w tem się zawsze przejawia, co pozostało dla niego nieosiągniętym ideałem.

Z epoki 1648—1659 r. Sienkiewicz nietylko tę jedną powieść napisał, ale pisze jeszcze drugą, którą nazwać zamierza *Potopem*. Miano to, jakwraz przystaje do całego tego straszliwego dwunastolecia i historyk obrazowy, historyk-poeta, jakim być musi każdy kreślący losy narodu dla narodu—całej tej epoki inaczejby nie nazwał. Był to rzeczywiście potop nieszczęść. Przeznaczenie otworzyło na nas wszystkie swe upusty. Chmury jak fale spienionego oceanu waliły się jedna przez drugą, a każda przynosiła ulwę, błyskawice i pioruny. Co promyk zajaśniał, to go zaraz nowe mroki pochłaniały. Gromy były nieustannie, groza śmierci wila się jak wąż po huczającym niebie. Z czeluści Europy wypadały coraz-to nowe szatany. Od wichru przeciwności mdlała i upadała dusza zbiorowa, łamały się podstawy bytu, pękało sklepienie wiekowej budowy. Bez wątpienia, dla Historii nie wystarczy mechaniczne odmierzenie i odważanie wypadków; ilość dla niej nigdy wobec jakości rozstrzygającą być nie może, każdy wypadek ma w jej oczach swoją własną indywidualność—i w tem znaczeniu mówimy też, że się wypadki nie powtarzają w historii:—spójrzmy jednak na te kilka miesięcy Władysława IV i jedenaście lat Jana Kazimierza: czy tak łatwo znajdziemy w dziejach nowożytnych równie ogromną summę przeciwności, nieszczęść i klęsk, w jedną chwilę zebranych i trud równie ogromny, dla przełamania losu podjęty—podjęty i wykonany?

Leleweł ubolewa, że dotychczas jeszcze epoka tej wielkiej burzy dziejowej nie znalazła godnego siebie historyka; ale sam w swych *Uwagach* kreśli jej obraz wyrazisty, a w jednym ustępie summującym wszystkie nieszczęścia i wszystkie nędze wzbija się, nawet on, pod wrażeniem rzeczywistości, na wyżyny prawdziwie szczytnego wysławienia. Jakże się dopiero rwać musi duch artystyczny, jeśli w siebie tylko dobrze dzieje te wchłonał, tak, aby one w nim odżyły; jeśli nieprzeliczone mnóstwo większych i mniejszych szczegółów zebrał w jedną syntezę i wytworzył z całego ogromu wypadków jedną indywidualność, ożywioną już rzeczywiście tchnieniem epoki! Takiego artystycznego ducha potrzeba i historii, która pomimo wszelkich pedanckich deklamacji *ex cathedra*, jako wiedza czysta, krytyczna, nigdy nie przeniknie w powszechność i musi się stać koniecznie umiejętnością i sztuką, aby rzeczywiste swoje zadanie oświecenia umysłów prawdą spełnić mogła. Na takiego historyka czeka jeszcze do dziś dnia epoka pomieniona. Artystycznego odczucia i wydania, żywego uplastycznienia wydarzeń i czynów nie od każdego żądać można; ale do sprawiedliwego sądu każdy jest zobowiązany. Pod tym wzglę-

dem nowsze dziejopisarstwo nasze, w tak zwanej szkole krakowskiej zamknięte, krzywdzi przeszłość wogóle, a w szczególności tę epokę, wobec której właśnie stoimy.

Jeden z przedstawicieli tej szkoły, historyk prawa z powołania, a historyk polityczny z temperamentu, p. Bobrzyński, dał się poznać jako autor improwizacji nazwanej *Dziejami Polski*, improwizacji, w której sam Henryk Szmitt wykazał sto kilkadziesiąt błędów faktycznych, a która mimo to dostąpiła zaszczytu wielkiej poczytności. Traktat swój poprzedził p. Bobrzyński schematem pojęć o organizacyi państwa, żywcem jakby wziętym z handbuchów niemieckich. Co do schematu nie przypada, to uczony profesor bez miłosierdzia przykrawa, obcina, przycina, aby tylko w ramy z góry sklezione wlało; wypadki, które okaleczyć się nie dały, uśmierca, to jest wcale o nich nie mówi; na inne, niedogodne dla siebie, rzuca światło własne, aby się odpowiednio wydały; wszystko to zas czyni dla miłości prawdy, oczywiście—szkoda tylko, że bez zgłębienia samoistnego, na które brakło mu nawet czasu. Jest on tu tylko heroldem szkoły, założonej jeszcze w r. 1865 w *Kółku Prawdach* przez Szujskiego: miał więc prawo wyniki trudów i przekonania tego historyka, należące do szkoły całej, adoptować i jako własne swoje w świat puścić. W tym tedy pamflecie na przeszłość Polski p. Bobrzyński twierdzi, że upadek zaczął się już w wieku XV. Dlaczego? bo właśnie wtedy powszechność zesła z tego, co się u p. Bobrzyńskiego jedyną drogą prostą, do zbawienia wiodącą nazywa, i uwikłała się na manowcach. Wiadomo zaś czem są wszelkie manowce.

Po takim upadku już za Kazimierza Jagiellończyka i Olbrachta, rzecz prosta, cały wiek XVI musi być wiekiem ułudnej tylko siły, a wiek XVII epoką błędów i grzechów coraz sromotniejszych. Tymczasem historia przekonywa, że właśnie na owych manowcach pana Bobrzyńskiego działało się wiele rzeczy dobrych, dodatnich, jakieby może na jedynej zbawiennej drodze nie były się nigdy spełniły. Pomijamy tu otchłań sofistyki, jakiej potrzeba było dla dowiedzenia, że nawet rozwój umysłowy XVI wieku był tylko blichtrzem: staje przed nami z całością wielkich zamysłów swoich, przedsięwzięć i czynów spełnionych wiek XVII, staje ta właśnie epoka, nad którą zatrzymuje się myśl nasza zboląła. Czyż to było zasługą, że się rzecz publiczna z tego straszliwego potopu wydobyła? Jakież to były i czyje środki, które jej jednocześnie sześć wojen toczyć i ostatecznie zakończyć pozwoliły? Może modlitwami zbudowano arkę jakąś, a potop ją na sobie uniósł, ocalając właśnie tych, których miał zagubić? Może słynna pomoc austriacka ocaliła wtedy rzecz publiczną? Może interwencya Ludwika XIV? Kto pobudzał i rzucał tysiące istnień na krwawe widownie, gdzie zawsze znajdowały się w mniejszości, a gdzie w większej części wypadków odnosiły zwycięstwa? Więc zapewne ta zasada, za którą walczył p. Bobrzyński, wywoływała życie, hartowała serca, skupiała siły? Więc temu czynnikowi dziejów, z którym borykała się nierozumnie szlachta, jego inicjatywie, jego enocie, rozumowi i energii, przypisać należy to, że niepamiętna w dziejach burza przehuczała, przewyla, przeszła i zostawiła tyle sił jeszcze, ile ich potrzeba było na Chocim w 1673 r., na Wiedniu w 1683 r.? Nie, nie—a więc co? Daremne wykręty i mędrkowania! Oto energia stanu szlacheckiego, jego żywotność i samodzielność. Ślepym być potrzeba, aby nie dostrzedz tego, że w epoce *ogniem i mieczem* zaznaczonej, nie inna żadna siła lub zasada, ale naród sam wy dobył Rzeczpospolitą z morza bezprzykładnych nieszczęść.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W Krakowskim Muzeum techniczno-przemysłowem Dr. Baranieckiego rozpoczęły się z d.

8 listopada wykłady dla kobiet, trwające tam z największym pożytkiem słuchaczek już rok 17. Wykłady te, jak wiemy, rozpadają się na pięć oddziałów: *historyczno-literacki, nauk przyrodniczych, sztuk pięknych, handlowy i gospodarczy*. Na *wydziale historyczno-literackim* wykładają przedmioty stałe: literaturę powszechną p. Gustaw Ehrenberg; literaturę polską i estetykę Dr. T. Ziembra, docent uniwersytetu; historię powszechną Dr. August Sokołowski prof. gimn; historię polską Dr. A. Lewicki prof. uniwersytetu. Pedagogikę p. Ksawery Pietraszewicz. Przedmioty niestałe wykładają: „Pierwsze wieki chrześcijaństwa u nas“ X. Tadeusz Gromnicki. „O rozwoju instrumentów muzycznych“, wykład porównawczy; oraz przyczynę do historii muzyki: „Nowe formy w muzyce, zwłaszcza dramatycznej“ Dr. Franc. Bylicki. „Składnia polska w zarysie“ Dr. L. Malinowski, prof. uniwer. Oprócz tego zapewnione są wykłady innych jeszcze przedmiotów niestałych, których programmat zostanie podany w swoim czasie.

Na *wydziale nauk przyrodniczych* wykładają: Astronomią popularną Dr. D. Wierzbicki, adjunkt Obser. Astron. Krakow. Mineralogią i geologią Dr. A. Alth prof. uniw. Botanikę Dr. Rastafiński, prof. uniwer. Zoologią Dr. Jaworowski prof. gimnaz. Fizykę doświadczalną, Fran. Tomaszewski, prof. gimn. Chemią Dr. E. Brandowski, prof. Akad. Technicznej. Hygienę popularną Dr. Kazimierz Grabowski, docent. uniwer. Programat wykładów na *Wydziale Sztuk Pięknych* podaliśmy w N. 42 pisma naszego (z d. 3 Paź.), przy za wiadomieniu o otwarciu w d. 1-go Paź. lekcji rysunku, malarstwa i modelowania w pięciu oddziałach nauki rysunku, malowania i rzeźby, zostających pod kierunkiem Matejki. Dla uzupełnienia dodać tu tylko należy, że dla uczennic oddających się malarstwu olejnemu może być w każdej chwili otwartym: *oddział kompozycji*, w osobnej na ten cel urządzonej pracowni; oraz, że w czasie miesięcy letnich *oddział IV*, obejmujący rysunki z natury będzie istniał samodzielnie; obecnie rysowania krajobrazów ze wzoru udzielają w tym oddziale nauczyciele i nauczycielki z I, II i III oddziału. Nauki drzeworytnictwa na otwartym w d. 8 Listopada oddziale drzeworytnictwem, udziela p. Ksawera Chlebowska, kaligrafii ozdobnej p. L. Peszkowski.

Na *Wydziale Handlowym* wykłady rozpoczyna się natychmiast, gdy zbierze się choć dwanaście uczennic. Przedmiotami wykładanymi wtedy będą: Rachunkowość handlowa wraz z nauką o miarach i wagach; prowadzenie ksiąg handlowych, pojedyncze i podwójne, wraz z nauką o wekslach i papierach publicznych; korespondencja handlowa. Kurs ten w razie pożądanego rozwinięcia się, rozszerzonym i uzupełnionym zostanie przez wykłady: towaroznawstwa, geografii handlowej, zarysy ustawy przemysłowej i prawa handlowego. Na *Wydziale Gospodarczym* wykładane będą: Gospodarstwo wiejskie kobiece, poprzedzone ogólnym zarysem gospodarstwa wiejskiego, — p. Karol Lange czł. Towarz. rolniczego. Gospodarstwo rybne i rzecz o rybactwie krajowem—Dr. Maks. Nowicki prof. uniwers. Inne przedmioty, jako to: wykłady sadownictwa, ogrodnictwa warzywnego i kwiatowego, jedwabnictwa, pszczolnictwa, technologii domowej, rachunkowości i prowadzenia ksiąg gospodarczych, rozpoczyna się z dniem 1-ym Maja, jeżeli się zbierze dostateczna liczba słuchaczek. Lekcje języków obcych: francuzkiego, niemieckiego, włoskiego, angielskiego, rozpoczyna się również wtedy, skoro zapisze się na nie dostateczna liczba uczennic. Języka i literatury francuzkiej udzielać będzie p. Erard-Ciechowski, nauczyciel tegoż języka przy uniwersytecie. Lekcji arytmetyki udzielać będzie, jak i w latach zeszłych, Dr. D. Wierzbicki.

Nauka koronek w Piotrkowie, odbywająca się w godzinach popołudniowych, została z powodu krótkości dnia odroczone aż do wiosny. Nauka ta trwała od 6-ciu miesięcy, uczyło się jej osób 14; w chwili przerwania nauki było uczennic 11. Korzyść wyniesiona z nauki jest taka, że uczennice mogą już wyrabiać koronki stosunkowo kosztowne (do 12 zł. łokieć) i każda z byłych uczennic przyjmuje zamówienia na własną już

rękę. *Tydzień* Piotrkowski donosi, że okazy koronek z jedwabiu, lub nici zostały złożone w księgarńi W-go Jędrzejewicza i podaje kilka adresów osób zajmujących się wyrobem koronek: pp. Heinrich (dom Czerwińskiego, za Parowym Młynem), Holubka (Krak. Przedm. dom Jasińskiego), Musiał (dom Milczarskiego przy Alei), Różycka (dom Dr. Strzyżowskiego), Zielińska (dom Miżowskiego).

— W Mińsku założyła szkołę rzemieślniczą, dla kobiet, p. Rokicka, uczennica podobnego zakładu w Warszawie. Nauczać tam się będzie: szycia i kroju bielizny, krawiecczyni, kwaciarstwa, rękawicznictwa, introligatorstwa. Pomyślny rozwój zakładu stanowić będzie o rozszerzeniu jego programatu.

— Z Nowym Rokiem otworzoną będzie w Warszawie szkoła koszykarstwa, przyjmująca uczennice tak, jak i uczni. Dla kobiety, pragnącej zasłużyć się społeczeństwu swemu przez rozszerzenie jego przemysłu i podniesienie dobrobytu między ubogim ludem wiejskim i mało-miasteczkowym, otwiera się pole tej zasługi, bo celem głównym szkoły jest, aby wykształcać nauczycieli i nauczycielki dla nauczania przemysłu koszykarskiego we wspomnianych warstwach ludności. Koszykarstwo jest jedną z gałęzi bardzo pożądanego przemysłu—przemysłu domowego.

— Czytelnia dla kobiet, młodzieży i dzieci, istniejąca przy kwaciarni p. Olędzkiej, ul. Niecała N. 1, — dobra, pocziwie doborowa i tania, oo siłami filantropijnymi wzniesiona i całe swe utrzymanie, to jest pomieszkanie i obsługę, także filantropijnie od p. Olędzkiej dostającą, przeniesioną została z 3-go piętra do antresolu. Jej księgozbiór został znacznie pomnożony przez nowsze dzieła historyczne. Cena abonamentu jest: rocznie rs. 2, półrocznie zł. 10, miesięcznie zł. 2, czyli grosz na dzień.

— Zofia z Chelmickich Koziębrodzka zapisała przez ostatnią swoją wolę 80,000 rs. na stypendya imienia Leona i Alexandry Koziębrodzkich, z których korzystać mają dzieci służby wiejskiej wyznania katolickiego; oraz 15,000 rs. na Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie.

— Marya Topolska, rodem z Królestwa, założyła w Australii, w Sydney, stowarzyszenie opieki nad biednymi szwaczkami, przyzywając do pomocy wszystkich miłosiernych ludzi dobrej woli.

— Wspominana już poprzednio w *Kronice* naszej Amerykanka, Klara Barton, delegatka rządu Amerykańskiego na genewską konferencyę Stowarzyszenia *Krzyża Czerwonego*, nie tylko jest jedyną kobietą, biorącą udział w konferencyi; ale osobistość jej zasługuje ze wszech miar na uznanie i sympatyę. W czasie amerykańskiej wojny Północy z Południem ona pierwsza zaprowadziła w ojczyźnie swojej ochotnicze pielegnowanie rannych i obecnie, poparta przez rząd Stanów Zjednoczonych, zoorganizowała amerykański związek *Czerwonego Krzyża*, urządzając go kolejno w pojedynczych Stanach; została też prezydentką centralnego komitetu działającego na całe Stany Zjednoczone. We wspomnianej wojnie amerykańskiej znajdowała się osobiście na wszystkich niemal pobojowiskach bitw walnych, i tak zasłużyła dobroczynną swą działalnością i zasługą, że w czasie Wojny Niemiecko-Francuzkiej w 1870/71 r. została zawezwana przez wielką Księżnę Badeńską ze Szwajcaryi, gdzie wtenczas przebywała, i przez ośm miesięcy pełniła miłosierny urząd nadzoru nad ambulansami niemieckimi, najpierw w Hagenau, następnie w Strasburgu, za co została też odznaczona przez rząd niemiecki *Żelaznym Krzyżem Zasługi*. Na zebrańiu się pierwszej konferencyi w Genewie zamierzano podnieść miss Barton do godności jednego z honorowych prezydentów zgromadzenia, nie dało się to jednak przeprowadzić z powodu, że nigdy dotąd kobieta nie zajmowała podobnego stanowiska. Na wniosek włoskiego delegata, członka lekarskiego sztabu włoskiego, pułkownika Tosio, uchwalony został adres wyrażający, iż miss Barton, wiążąc za pośrednictwem Stowarzyszenia *Czerwonego Krzyża* Amerykę z Europą, zasłużyła się dobrze ludzkości. W debacie konferencyi nie brała miss Barton znaczącego udziału.

lu, ale jeden z pomiędzy dwóch towarzyszących jej delegatów amerykańskich, Józef Sheldon z Newhaven, w jej imieniu odczytał sprawozdanie z czynności i urzędzeń Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, do czego dodając w końcu historią jego zawiązku i rozwoju, wyświecił dla jakich-to niepospolitych zasług swoich kobieta została postawioną na jego czele. W dodatku zawiadomił zgromadzenie, że przy ostatnim wielkim wylewie

rzeki Mississipi Miss Barton kierowała osobiście działaniem komitetów ratunku i pomocy, zarabiając w ten sposób na wdzięczność tysięcy ziomków swoich. Miss Barton jest wyjątkowo na Amerykanek skromną i poważną osobistością.

— Błażej Lorkowicz, b. rektor uniwersytetu w Zagrzebiu napisał książkę: *Kobieta w rodzinie i społeczeństwie*. Książka ta, przedstawiająca kobiecie szlachetne ideały, drogą cnót rodzinnych

i obywatelskich osiągnąć się dające, wydaną została przez *Maticę Chorwacką*.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 7-my tomu II-go powieści pod tyt.: **Dwie**.

UWIADOMIENIE.

NAKLADEM WYDAWCY „BLUSZCZU” WYJDZIE

ZBIOROWE WYDANIE

PISM GABRYELLI

(NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ).

Największym talentem kobiecym w literaturze naszej jest bez zaprzeczenia Żmichowska. Przed czterdziestu laty zabyła odrazu, jak świetny meteor, w **Pogance**, — i odtąd już czytano chciwie wszystko, co z pod pióra jej przez dwadzieścia lat wychodziło. Na wiele lat przed śmiercią zamilkła jako poetka; ale dwa jej utwory pośmiertne wzbudziły w nowym już pokoleniu, wśród nowych ludzi, taksamo żywe zajęcie jak to, które w dniach swej młodości odbierała. We wszystkim, co zostawiła po sobie, dowiodła takiej potęgi uczucia, takiej twórczości fantazyi, takiej głębokości i niepodległości myśli, że historia literatury zapewnia jej pierwsze miejsce pomiędzy wszystkimi poetami, dla których ogniskiem działalności w epoce od 1840 — 1860 r. była Warszawa. Słusznie nazwano Żmichowską dopełnieniem trójcy wielkich poetów naszych: była ona jednym z tych światel niebieskich, które się naokoło wielkiej Plejady ugrupowały, aby blask jej zwiększyć. Duch podniosły, umysł niepospolity, tryskający swą wyższością, serce rwące się bo najszlachetniejszych ideałów, charakter niezłomny, — a przy nich twarda walka ze światem, wśród cichej pracy i nieukojoonej tęsknoty — i całe życie pełne zawodów i nieszczęść: taką była ta żywa siła, którą literatura zna pod imieniem „Gabryelli.”

Krytyka różnych obozów estetycznych i społecznych zaraz

po skonie Żmichowskiej w końcu 1876 roku przyznała jej wysokie stanowisko w poezji polskiej, a przyznając je, wydawała tylko sprawiedliwy wyrok. Poetyczność Żmichowskiej była jednym z rzadkich zjawisk duchowych. Wiersz stanowił dla niej tylko jedną z form, w jakich objawił się samorodny oryginalny talent. Poetką była autorka **Poganki** we wszystkim, co napisała w epoce swej twórczości. Powieści jej prozą są takiemisamemi, i można powiedzieć, wyższymi jeszcze poematami od jej utworów pisanych wierszem. Proza Żmichowskiej jest w wysokim stopniu poetyczną, samodzielną, jej własną, a piękną — jak proza Słowackiego lub Krasińskiego. Szczera entuzjastka, jest prawdziwym człowiekiem w życiu i prawdziwym poetą w tworzeniu. Prześliczna jej forma służy zawsze wiernie obfitej, bogatej, myślącej i do myślenia pobudzającej treści. Przez pisma jej wieje duch filozoficznego niepokoju o świat, o ludzkość, o to, co jej w ludzkości najbliższym było. Pod powiewem tego ducha drży ustawicznie zagadka bytu człowieczego na ziemi, myśl dobija się niecierpliwie do świątyni, w której czuje zamknięte tajemnice przyszłego rozwoju. Zaprawdę, wyższy, niepospolity talent — a dość go poznać, aby go ucieść, jak na to zasłużył.

Zbiorowe wydanie pism Gabryelli

składać się będzie z 5-ciu tomów

Tomy wychodzić będą w przerwach kwartalnych

Tom I-y wyjdzie w Lutym 1885 r.

Prenumerata wynosi:

Dla prenumeratorów „Bluszczu“

W Warszawie rs. 5, z przesyłką rs. 5 kop. 50.

Opłacać można częściowo co kwartał

W Warszawie rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 50.

Osoby z prowincyi nadsyłające odrazu prenumeratę za wszystkie 5 tomów kosztów przesyłki nie ponoszą.

Dla nieprenumerujących „Bluszczu“

cena egzemplarza wynosi rs. 7 kop. 50, z przesyłką rs. 8.

TREŚĆ. Tysiączny numer, przez Maryą Ilnicką. — Czy wy czujecie? (poetyza), przez Szczęsną. — Kartka z pamiętnika poety. (fantazyja). — Głupia dziewczyna, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — Listy z Magdeburga VI, J. I. Kraszewskiego. — Przegląd piśmienniczy, przez Stanisława Krzemińskiego. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: arkusz 7-my tomu II-go powieści p. t.: **Dwie**, przez M. Georgianę Craik. — 30 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 14 Ноабра 1884 года.